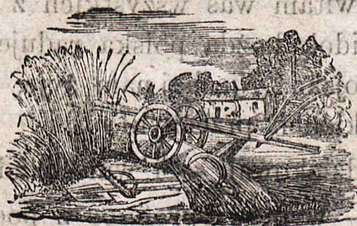
Tom I. 1. Stycznia 1870. Nr. 4.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wspomnienie z lat przeszłych.

przez Paulinę z L. Wilkońską.

Za księcia Konstantego słynął pewien kapitan od ułanów z żartów dowcipnych i figielków psotnych, które swoim płatał znajomym. Pułk przechodził w czasie lata przez pewną okolicę gdzie przez dni parę dla wypoczynku miał się zatrzymać. Wysłużony profesor p. Ćwiartka, człek bezżenny, który kupiwszy sobie piękny domek we wsi Czernidłowie, przepędzał w zaciszy resztę życia, także powiadomionym został, że załogę wojskową otrzyma a będąc wesołego usposobienia i zamożnym, poprosił, ażeby mu dano tego kapitana i oficerów kilku.

— Nacieszę się z nimi, pośmieję, bo kapitam musi mi płatać figielki, oj musi! — powtarzał wesoło zacierając dłonie.

Kazał wszystko przysposobić na wygodne przyjęcie pożądanych gości, zaopatrzył piwnicę, spiżarnią, i sam krzątał się ochoczo po domu, by wszędzie przestrzegać ładu i porządku.

Wreszcie upragniona nadeszła chwila. Zawiały chorągiewki biało-czerwone — pobłysnęły lance — i poczciwy profesor radośnie na dziedziniec pospieszył, gości swoich powitał — ucałował — wprowadził do pokoju — i zaraz na wstępie starym węgrzynem i sutą poczęstował zakąską.

— Szanowni rycerze, panowie łaskawi! — podniósł gospodarz kielich — witam was wszystkich z serca całego waleczni! Na wasz widok każda polska raduje się dusza. Zatem ku czci naszego wojska! Niechaj nam żyje, a wrogów bije! — Zawołał wesoło i kielich przechylił.

Oficerowie podziękowali — i wnieśli zdrowie gospodarza.

— A teraz — wymówił profesor z podnieconym na twarzy rumieńcem — w szczególności zdrowie komendanta, zacnego kapitana. Niechaj nam żyje i wesołe płata figielki! — zaśmiał się, że aż mu połysnęła źrenica, i kielich raźno po raz drugi spełnił.

Kapitan oczywiście podziękował tak samo.

— A szanowny, kochany, jedyny łaskawco! — zawołał znowu gospodarz — pragnąłem oddawna znajomości twojej rycerzu waleczny! Wyprosiłem sobie, ażebym ciebie pod moim dachem mógł powitać, uściskać, ucałować. Przyjmij więc co chata ma moja, bo czem bogata tem rada.

— Przyjmujesz nas sercem, najszanowniejszy dobrodzieju, sercem i duszą polską — odrzekł kapitan — to i prawdziwie szczęśliwi jesteśmy z gościny takiej.

Uścisnęli się nawzajem.

— Ah, łaskowco — zaczął znowu profesor — mam prośbeńkę jedną do ciebie! — uśmiechnął się znacząco.

— To i jakaż to może być prośba? Naprzód przyrzekam wszystko.

— Ot . . . ażebyś mi jakiego wesołego figla wypłatał.

Rozśmiali się wszyscy.

— Dowcip twój słynie i słyną figielki twoje. A ja namiętnie lubię takie wszystkie żarciki. Mój łaskawco jedyny!

— Dobrze to, profesorze kochany — odrzekł kapitan — uczynię co potrafię. Ale nie zawsze to usposobienie po temu. Są kłopoty . . .

— Kłopoty? Jakież kochany kapitan może mieć kłopoty?

— Każda Teresa ma swoje interesa, dobrodzieju łaskawy, To koń zakuleje, to kochanka zdradzi, przyjaciel zawiędzie, w karty się przegra, wierzyciel licytuje . . .

— Ej łaskawco jedyny, to chyba wszystko jeno frachy dla ciebie! Koń wyzdrowieje, a jeżeli nie, to pal go w łeb. Kochanka? Ej, gdzie strona tam żona, dla takiego urodziwego oficera. Przyjaciel! . . . Ot, my ciebie całą duszą kochamy. ! . . W karty! toć mówią, jakby w karty grał: raz na wozie, raz pod wozem. A co tam do tego ostatniego, no . . . kapitanie to . . . tamtego . . . gdybyś kiedyś . . . tego tam, at . . . jak to czasem . . . — odchrząknął i poczerwieniał — tamtego potrzebował, to i sięgnij do sakiewki mojej — wykrztusił wreszcie poczciwiec i odetchnął wolniej.

Uściskali się znowu — i kapitan przyrzekł, że jeżeli tylko podoła, to jakiego spłata figielka, z którego gościnny gospodarz pośmieje się trochę.

Wieczorem długo wszyscy posiedzieli z sobą — przy herbacie — przy wybornym ponczyku — po wieczerzy wyśmienitej. Prawili, baraszkowali. Kapitan dowcipkował. Koledzy jego różne opowiadali figle — a profesor zanosił się od śmiechu, że aż się popłakał.

Wreszcie powiedzieli sobie dobra noc. Gospodarz odprowadził gości do ich pokoi. A potem w swojej komnatce do gazety zasiadł, ażeby się dowiedzieć co też monarchowie porabiają. Zaledwie wszelako pół godziny upłynęło, gdy wbiegł Tomek woźnica, blady, przerażony, i załamując ręce ze łzami wybełkotał:

— Proszę pana! O Jezu! Jezusieńku! Toż nam konie ukradziono.

— Co ty gadasz? Śnisz, czy co? porwał się profesor.

— A dałżeby Niebieski, ażebym śnił! — Tomek znowu ręce załamał — ale dyć je ukradli psiewiary jakieś. O Jezu! Jezu! O Przenajświętsza!

— Do stu piorunów, a gdzieżeś ty był? grzmotnął profesor.

— Oj, proszę pana.... — Tomek ze skruchą złożył dłonie — ułani wyprawiali różne tam harce za bramą, i pogapiłem się także... O Jezu! Mój Jezu!

Profesor głowę zwiesił — i już nie łajał. Bo i jakżeż miał łajać? Bawił się z oficerami, słuchał o figielkach kapitana, to więc i Tomek popatrzył się na ułanów.

*

— Potrzeba szukać! Gonić! — zawołał nagle. Jutro jest jarmark w miasteczku.

— Jużci, jużci, proszę pana! Pewniusieńko tam z niemi popędzili.

— Chodź!.... Poczekaj w sieni!

Profesor wszedł do pokoju kapitana, który właśnie zabierał się do spoczynku.

— Kapitanie! Łaskawco jedyny! Ratuj! zawołał.

— Toż co, profesorze? Cóż się stało? — pytał kapitan skwapliwie. Jesteś przelękniony, dobrodzieju. Cóż się stało?

— Konie wyprowadzili mi ze stajni! ukradli!

— Kiedy?

— Ot, tej nocy, wieczorem.... albo ja wiem.

— A to historya nielada! rzucił się kapitan. — Przecież tam byli ułani moi?

— Twoje konie umieszczone w stodole po drugiej stronie podwórza za ogrodem. Parobczak przypatrywał się z drugimi ułanom bawiącym się za bramą.

— Fatalnie się stało! I serdecznie jestem zmartwiony kochany profesorze.

— Przyszedłem z proźbą kochany kapitanie, ażebyś mi dał parę koni i ze dwóch ułanów, byśmy złodziei tropić mogli. Jutro w miasteczku jest jarmark.

— Usłużę ci z całej duszy, profesorze. Dam ci własne moje konie, ale, wybacz, ułanów dać nie mogę, bo to sprzeciwia się przepisom...

— No, no! To mniejsza. Daj mi tylko łaskawco dwa konie. Wsiądę na jednego, na drugiego mój Tomek....

— Jakto, profesorze! sam chcesz gonić?

— A nie inaczej. Najlepiej to każdy własnego dopilnuje interesu.

— Toć jest prawda. Ale zmęczysz się... w twoim wieku.

— To i co? Pójdzie na zdrowie, byle tylko znalazły się szkapiny.

— A gdybym ja sam ....

— Gdzie tam! Zacny, kochany, poczciwy! A przecież koni moich nie znasz, ani drogi, ani co!

— Prawda!.. Fatalnie!... Baraszkujemy, a tu pospiech potrzebny — porwał się kapitan. Antoni! Hej! — zawołał na służącego. Niechże tam Puzderko okulbaczy zaraz moje dwa wierzchowce i przyprowadzi.

— Dziękuję ci z duszy całej, kapitanie! — ucałował go profesor. Zabiorę się w tej chwili — i drzwi otworzył do sieni.

— A ciemnoż tam? zapytał.

— Kiej księżyc zaszedł, to i zrobiło się ciemniuszko — odrzekł Tomek.

Puzderko konie przyprowadził.

— Profesorze, tylko mi ich bardzo nie zmachaj! wołał jeszcze kapitan przez okno.

— Daję na to słowo!

Dosiadł z Tomkiem koni i — pogonili ku miasteczku.

Do miasteczka były dwie dobre mile. Pędzili co tchu starczyło — i profesor zapomniał, że przyrzekł koni nie zmęczyć. Aleć tu był pospiech potrzebny, konieczny. Należało się powiadomić burmistrza, by wszelką policyjną zarządził baczność. I też chcieli jeszcze po stajniach i zajazdach przepatrzeć.

Tymczasem — noce letnie są krótkie — zanim do miasteczka przybyli, dnieć już poczęło. Pędzili ciągle — gdy w tem odezwał się Tomek:

— Proszę pana...

— A co tam?

— Pan istnie, jakby na naszej jechał kobyle.

— Co ty pleciesz? obejrzał się profesor. — A do stu piorunów! — zawołał nagle i zatrzymał konia — Toćże ty niby na białej nóżce siedzisz...

— Panie, nasza, nasza, kobyła Bóg widzi!

Profesor zesiadł — i Tomek zeskoczył.

Konie były spienione i mocno piersiami robiły.

— Chryste Jezu! Proszę pana! zawołał znowu Tomek, składając dłonie — toćże to obadwa nasze właściwe, ukradzione konie!

Profesor aż niby oniemiał — chwilę postał zadumany — pokręcił głową — przyjrzał się koniom — poklepał je —

znowu głową pokręcił — pokiwał — a potem głośnym parsknął śmiechem — i tabaki zażył.

— O kapitanie! — zawołał. — Figlarzu kochany! Czego chciałem to i mam. Bodaj ciebie Bóg miał w opiece swojej!... Dalej-że Tomku, na powrót!... Ale niech pierwej konie wysapią się trochę.

Pogłaskał je — i poklepał znowu.

— Co też to... — podrapał się Tomek w głowę. — O Jezusieńku, żeśmy to na swoich koniach, niby nasze właściwe, skradzione gonili. Co też to za cudeńki!

— No, dalejże teraz! profesor dosiadł kobyły.

Tomek wskoczył na biało-nóżkę — i dalej drała napowrót.

— A wolniej, wolniej! — powtarzał profesor — niechaj ochłodną.

Dzień był jasny, gdy przed domostwem stanęli. Wybiegł na ich spotkanie kapitan — za nim oficerowie — za oficerami ułani.

— Profesorze! wołał pierwszy, składając dłonie.

— Oj, oj, figlarzu! — pogroził mu profesor zsiadając i dobrodusznie się rozśmiał.

— Profesorze, a konie zziajane!

— Ale nie twoje!... Bodajże cię Bóg kochał! uścisnął go oburącz — Żeby mnie też w noc ciemną na rozstajne wysłać drogi, na własnej kobyle, by niby-to ukradzionych szukać koni. Aj! Aj!... otarł pot z czoła i z zarumienionych szybką jazdą policzków.

— Profesorze kochany! Dobrodzieju jedyny! — objął go w pół kapitan — toćże chciałeś, zaklinałeś o figel, a mnie inny nie nawinął się koncept.

— Więc Bóg zapłać i za taki! Profesor w obadwa pocałował go policzki, że aż klasnęło — bo i unieśmiertelnisz mnie chyba tym swoim konceptem!... I jutro też sproszę sąsiadów i stypką kochanemu kapitanowi odwdzięczę. Tylko mnie już na drugi raz nie wywiedź w pole!

— Na raz tylko sztuka. A wybacz, wybacz, najzacniejszy profesorze!

— No, no, dobrze mi tak!... I ułanów uraczę, boć i oni chyba byli w zmowie.. I aby się ze mnie nie śmiali... Chłopcy uczęstuję was!

— Niech żyje pan profesor dobrodziej! — zawołali jednogłośnie ułani — Wiwat! Niech żyje!

Trzykłosie.

(Podanie.)

Na pagórku klasztor stoi,
Z niego idzie człowiek blady;
Chce uciekać, krok swój dwoi,
Lecz uciekać nie ma rady.

Włos na głowie z trwogi staje,
Serce groźnie zapukało:
Lęk pokoju mu nie daje —
Bo najświętsze ukradł Ciało.

Stanął w miejscu, struchlał cały,
Dalej kroku iść nie może,
Wtem hostyją odrętwiały,
By się pozbyć — rzucił w zboże.

Lecz o cudzie! — Boskie Ciało
Na trzech zdźbłach się zatrzymało;
Wnet pszczółeczki przyleciały
I radośnie zabrzęczały.

I poczciwe te owady
Woskiem kłoski te osnuły,
By strzedz Ciało od zagłady —
Bo niebiańską moc uczuły.

Ptaszki odtąd wciąż nuciły,
Wiatr rozgłaszał wdzięczne pienie,
Woń kwiateczki roznosiły
Na niezwykłe to zjawienie.

Kto szedł tylko w tamtę stronę,
W dziwnym uczuł się zachwycie,
Serce szczęściem upojone —
I o wiele słodsze życie.

Wkrótce kapłan z rzeszą całą
W święte miejsce tą przybywa;
Na trzech kłosach Boskie Ciało
Daszkiem wdzięczny lud pokrywa.

Wnet doznają ludzie cudu,
Rozgłos wszędzie się rozchodzi,
Toż tu zawsze mnóstwo ludu,
Co i zdała tu przychodzi.

Stanął kościół a w dom Boży
Dziś Trzykłosiem nazywany,
Wciąż lud chodzi, tu się korzy
Czy wesoły lub stroskany.

Józef z Bochni.

Kościół Panny Maryi w Krakowie.

Był niegdyś biskupem krakowskim Iwo Odrowąż, kapłan wielce świątobliwy i tak hojny dla ubogich, że gdy raz po wielkich powodziach głód nastał, przez trzy lata chleba zgłodniałym dostarczał. Wylany dla chwały boskiej, wiele koś-

ciołów i klastorów fundował i uposażył. — On też najwspanialszy w całej Polsce kościół Najświętszej Maryi Panny w Krakowie na rynku z fundamentów dźwignął. Jest już temu 644 lat jak ten kościół stawiany. Od tego czasu wiele się w Krakowie i w świecie zmieniło. Polska, wówczas jeszcze mała i słaba, urosła w potęgę, a potem, w zmiennej losów kolei, zachwiała się i upadła; miasto samo tysiącznym uległo klęskom i przeobrażeniom; potężny zamek królewski na Wawelu prawie się w gruzy rozsypał; biskupstwa nawet krakowskiego i biskupa nie ma, bo część tej dyecezyi zostaje pod panowaniem moskiewskiem, w szponach nieprzyjaciela wiary świętej, co gorszy od Turka; a wspaniały kościół maryacki stoi ciągle niespożyty. Podziwiając jego okazałość, jego ogrom, wysokość jego wież, pomyślmy czem byli przodkowie nasi przed sześciu wiekami i bądźmy dumni, żeśmy ich potomki. — Nie odrazu Kraków zbudowany, nie od razu i kościół maryacki stanął. Prawie dwieście lat trwała budowa, postępowała jednak bez przerwy, bo papież Bonifacy nadał odpusta tym, którzy pracą rąk swoich do budowy tego kościoła przyczyniać się będą, i znalazło się wielu takich, co nieszczędzili grosza na dokończenie dzieła, które na wiek wieków świadczyć miało o dawnej pobożności Polaków i o dawnej ich biegłości w sztukach i rzemiosłach. Jak ogromna, tak też wspaniała i bogata jest ta świątynia, wielu też ma kapłanów do służby bożej. Było ich niegdyś sześćdziesięciu a dziś jest czternastu. Ma bogate sprzęty kościelne a dach miedzią pokryty. — Kościół maryacki wznosi się po nad wszystkie kościoły krakowskie a wieża główna tej świątyni, po nad wszystkie wieże tego miasta, a nawet jest najwyższą w Polsce całej. Same mury mają ośm piąter wysokości, a nad niemi, w pośrodku kształtnych wieżyczek, wznosi się szczyt wyniosły, uwieńczony złotą koroną, i zakończony w niezmiernej wysoczyźnie gałką takąż, w której tkwi chorągiewka. Na wieży mieszka stróż, który we dnie i w nocy czuwa nad bezpieczeństwem miasta, wybija i wytrębuje godziny, a oraz, przez cały miesiąc Maj, jako poświęcony czci Najświętszej Panny, wygrywa na trąbie starożytne pieśni nabożne. Widok z tej wieży

na całe miasto i okolicę, zachwycający. Obok wznosi się druga, znacznie niższa wieża, na której jest pięć wielkich dzwonów. — Wnętrze kościoła Panny Maryi najgłębszą czcią przejmuje każdego, kto jego próg przestąpi. Ogrom świątyni zdumiewa, wysoczyzna jej sklepień lękiem przejmuje. Nadto nie jest tu nigdy zupełnie widno, lecz owszem szarawo, jakby o zmierzchu, co tem bardziej skłania umysł do poważnych rozmyślań. Jest tu trzydzieści dwa ołtarzów z marmuru i hebanu, bogato ozdobionych. Najpiękniejszym ze wszystkich jest



wielki ołtarz, zamykający się nakształt szafy, który wznieca podziw całego świata. W pośrodku znajduje się rzeźba, przedstawiająca zaśnięcie Najświętszej Panny w gronie Apostołów. Wszystkie osoby są naturalnej wielkości, dziwnie prawdziwe i święte. Po bokach zaś znajdują się mniejsze, ale równie

cudne rzeźby, przedstawiające ustępy z żywotu Zbawiciela. Obraz ten jako cały z drzewa wyrobiony, zniszczał mocno z biegiem wieków, przeto go, dopiero w roku zeszłym, z wielką sztuką odnowiono, na co płynęły składki zewsząd, gdzie tylko mieszkają Polacy, szanujący puściznę po przodkach i ich nieodrodne potomki. Tutaj należałoby wspomnieć o twórcy tego ołtarza, o Wicie Stwoszu, ale ponieważ życie jego, dziwnych przygód pełne, było opisane obszernie w przeszłym tomie Dzwonka z roku zeszłego, przeto tam odsyłamy ciekawych

Prócz wielkiego ołtarza wiele jest jeszcze rzeczy godnych widzenia w kościele maryackim. Wszystko tu, oprócz uczucia najczystszej pobożności, wznieca oraz podziw. I zaprawdę nie wiedzieć co tu bardziej podziwiać, czy cudne z marmuru i bronzu nagrobki fundatorów kościoła, których ciała tu spoczywają, czy piękne obrazy świętych w ołtarzach, czy okna z szyb kolorowych na których z wielką sztuką malowane są obrazki z pisma św. czy ławki z niezrównaną wyrzeźbione zręcznością, czy wreszcie lud pobożny co tu oblęga ołtarze od świtu do nocy i błaga Najświętszej Panny, królowej polskiej, o litość nad nieszczęśliwem miastem i nad całą nieszczęśliwą naszą ojczyzną.

St. Krakowczyk.

Barry, pies z góry Św. Bernarda.

Góra św. Bernarda, składa się z licznych, wysokich i wiecznym śniegiem pokrytych skał, i leży daleko od nas, na granicy pomiędzy Szwajcaryą a Włochami. Tutaj, Bernard z Mentonu, świątobliwy kapłan wybudował niegdyś szpital dla pielgrzymów idących do Rzymu i osadził przy nim księży Augustynów, którzy odtąd, przy pomocy psów, z bezprzykładnem poświęceniem niosą biednym podróżnym ratunek.

Chcąc zwiedzić tę piękną górę, idzie się od południa doliną rzeki wijącej się w posępnym parowie. Przebywszy siedm godzin drogi to prawym to lewym brzegiem tej dzikiej górskiej rzeki i zostawiwszy za sobą kilka małych wiosek, przychodzimy wreszcie do ostatniej, zwanej wioską Św. Piotra.

Odtąd okolica staje się coraz dzikszą i posępniejszą a za kościółkiem, w miarę coraz większego zimna, przyroda zdaje się obumierać; nie daleko ztąd nie widać już drzew cienistych, a zielona murawa, ubarwiona wątłemi kwiaty, którąśmy niedawno widzieli, gubi się zwolna wśród nieprzejrzanych lodowców.

Długo jeszcze słychać miły spiew skowronka, a od czasu do czasu głos dzikiej kozy. Nareszcie umilkło wszystko i nim się dojdzie do klasztoru, nic już nie słychać w samotnej pustyni, prócz szmeru strumyka, lub dalekiego, przerażającego grzmotu ławin, to jest staczających się z góry zasp śnieżnych. Otóż tutaj nieszczęśliwi podróżni giną często w zawiejach lub pod zaspami śniegów.

Nawet i wśród lata z trudnością przychodzi kopać się po tych śniegiem zasutych wąwozach, a co gorsza, w podróży takiej ani myśleć o wypoczynku, bo wtedy wycieńczonego z sił wędrowca ogarnia nadzwyczajna senność; kto zaś zaśnie, już się nigdy nie obudzi, jeżeli zakonnicy lub przynajmniej ich psy nie zjawią się dość wcześnie z pomocą. Senność ta bywa czasem tak gwałtowna, że zmoże wędrownika nawet gdy stanie na chwilkę, nawet gdy idzie. Tak w r. 1829 zakonnicy znaleźli na drodze człowieka stojącego, z laską w ręku, zupełnie zmarzłego, a nieco dalej spał również twardo jego towarzysz.

Samotność, zimno, jednostajność okolicy, mgła, wszystko to niewypowiedzianym smętkiem ogarnia umysł ludzki; jakże więc miło być musi gdy się usłyszy zdala dźwięczny głos klasztornego dzwonka, rozchodzący się zwolna w powietrzu, lub szczekanie psów, zwiastujące bliskość pomieszkania ludzkiego, gdy wreszcie wycieńczonemu z sił wędrowcowi ukaże się krzyż biały na ciemnym szyfrowym dachu klasztoru.

Widok tego gościnnego schronienia, tutaj, gdzie wieczna panuje zima, prawdziwą jest niespodzianką a uprzedzająca uprzejmość zakonników, zdumiewająca czujność i gorliwość ich psów, wszystko to wzrusza i rozrzewnia.

Słońce świeci tu bardzo słabo nawet wśród lata, tak, że leżące niedaleko klasztoru małe jezioro nigdy całkiem nie jest

wolne od lodów; zielona trzcina lub sitowie nigdy nie zdobi wiecznie smutnych jego wybrzeży, w klasztorze zaś woda zamarza nawet w sierpniu.

Bezpłatnie, bez względu na stan lub religię pobożni zakonnicy przyjmują w gościnę każdego wędrownika Jeżeli biedny, zaopatrzą go w cieplejsze ubranie, jeźli chory, pielęgnują z największą troskliwością aż do zupełnego wyzdrowienia.

Codziennie, w najostrzejszej porze roku, ile razy śnieg pada, zakonnicy uzbrojeni w długie laski, wychodzą po kilku na okoliczne ścieszki, w towarzystwie psów, które wśród najgęstszej mgły i podczas najstraszniejszych zamieci nigdy nie zawodzą.

Gdy zaspa śnieżna pogrzebie jakiego podróżnego, lub gdy go skośniałego zasypią płatki śniegu, roztropne psy zwietrzą to miejsce nawet w znacznej głębokości i nietracąc chwili, wygrzebują natychmiast nieszczęśliwych a szczekaniem dają o nich znać swoim panom. Wówczas ci wydobywają omdlałego wędrowca, przenoszą go do klasztoru i używają wszelkich środków, aby go do życia przywołać.

Psy z góry św. Bernarda są rasą pośrednią pomiędzy brytanem a wyżłem.

Są powiększej części dość wielkie, okryte długim włosem, brunatne z białemi płatami, mają kości grube, ale głowę nie wielką, kształtną.

Pomiędzy niemi najbardziej wsławił się Barry, który czterdziestu ludziom uratował życie. Ile razy zaniosło się na zamieć śnieżną, gdy mgła powstała, lub gdy posłyszał tak straszny dla ucha ludzkiego grzmot staczających się z góry śniegów, nie dał się zatrzymać w klasztorze. Bez wytchnienia biegł w około wietrząc, nasłuchując, szczekając, i rzadko powracał nie znalazłszy nikogo.

Najbardziej rozrzewniającym i najpiękniejszym jego czynem był następujący, dokonany przed pięćdziesięciu laty.

Wśród gór wiecznym śniegiem okrytych zajaśniał poranek majowy Ale zaledwie słońce wzniosło się cokolwiek w górę, zaciemniło się nagle i nastąpiła zamieć z gwałtowną

burzą, której towarzyszyły grzmoty tak często na wiosnę zsuwających się śniegów. Barry pospieszył szukać nieszczęśliwych. O godzinę drogi poniżej klasztoru znalazł na ścieżce czteroletnie dziecko, chłopczyka, którego matka, jak się później dowiedziano, uboga wdowa, puściła się z nim w podróż przez góry do krewnych. Złudzona pięknym porankiem, sądziła biedaczka, że na południe zdąży do gościnnego klasztoru, ale na godzinę drogi przed tymże, zaskoczyła ich zamieć śnieżna. Nagle z góry stoczył się niezmierny bałwan śniegu i zagrzebał nieszczęśliwą matkę. Chłopiec wycieńczony zimnem, głodem, przestrachem i trudami leżał jeszcze na ścieżce i płakał. W takim jak się zdaje stanie znalazł go Barry. Roztropne zwierzę zbliża się do niego i podnosi głowę aby płaczący malec mógł postrzedz orzeźwiający napój i chleb w koszyczku do jego szyi przywiązanym, jakie noszą wszystkie psy w służbie będące. Dziecię, które nie pojmowało widoku wielkiego brytana, przelękło się pewnie jeszcze bardziej i myślało może o ucieczce. Ale pies jakby wyższym obdarzony rozumem usiłuje ośmielić je i wzbudzić w niem ufność ku sobie. Kładzie ostrożnie niezgrabne łapy swoje na małych nóżkach chłopca i liże mu wpół skostniałe już rączęta. Te dowody uprzejmości uspokajają malca i spoufalają go coraz bardziej z czworonożnym dobroczyńcą. Usiłował podnieść się, ale nogi, ręce, całe ciało jego było już skostniałe, tak że iść nie mógł. Wszystko to wzbudziło widać szczególniejszą litość w psie, bo zaczął dawać małemu znaki zachęcające aby wsiadł na niego. Dziecię uczyniło to jak mogło, objęło go rączkami za szyję, i tak przyniósł je Barry do bramy klasztornej, gdzie pociągnąwszy zębami za dzwonek, gdy mu otwarto, pozwolił zdjąć z siebie drogi ciężar.

Czcigodni zakonnicy równie zdziwieni, jak uradowani tym nadzwyczajnym, prawie cudownym wypadkiem, czynili wszystko, aby ocalić biedne to dziecię. Ale trzeba było widzieć jaką radość okazywał Barry, gdy chłopczyk przyszedłszy zupełnie do siebie, pogłaskał go po głowie małemi rączkami. Jego matki pomimo najusilniejszych starań nie zdołano odratować.

Rozrzewniający ten wypadek sprawił nadzwyczajne wrażenie w całej okolicy, a wnet bogaty kupiec przybrał osierociałe dziecię za swoje i wychowywał je troskliwie.

Barry przez lat 12 pełnił w klasztorze znamienite usługi, poczém zaczął się starzeć, był coraz słabszy i często zapadał na zdrowiu. Ostatnią przysługę wyświadczył ludzkości wyratowaniem pewnego pielgrzyma. Bez sił prawie przywlókł się z tym nieszczęśliwym do klasztoru i położył się u nóg ojca Euzebiusza, którego najbardziej łubił ze wszystkich zakonników. — Wkrótce potem przybył do klasztoru kupiec z owym chłopczykiem, którego Barry przed siedmiu laty uratował. Pies zdawał się poznawać dawnego znajomego, podniósł się z posłania i okazywał niezwykłą radość, jakby chciał powiedzieć iż go to cieszy że tak wyrósł. Kupiec wyprosił go sobie z łatwością ponieważ był już za stary aby mógł jeszcze służyć ludzkości i zapewnił mu chleb łaskawy, na który Barry niewątpliwie zasłużył.

Przywieziony do miasta posmutniał do reszty z tęsknoty za towarzyszami młodości, za śniegami i lodami i nareszcie pewnego wieczoru znaleziono go bez życia pod łóżkiem nowego pana.

Widzieć go można w mieście Bernie wypchanego, z koszyczkiem na szyi. Kto go tam ujrzy, z uszanowaniem zdejmuje przed nim kapelusz, kupuje obrazek przedstawiający go z dziecięciem na grzbiecie, stojącego przed furtą klasztorną i pokazuje dzieciom swoim, mówiąc: Idź, i czyń podobnie jak ten miłosierny Samarytanin.

Złote ziarna.

Lepiej być i żebrakiem, ale żebrać z cnotą,
Niż siebie i kraj wieczną okrywać sromotą.

Lepszy szeląg z intraty, chociaż jest miedziany,
Niż pieniądz z złotym stęplem ale pożyczany.

Rady i przestrogi gospodarskie.

Korzystne ustawienie ulów na zimę. Pszczolarze francuscy zwracają teraz przedewszystkiem uwagę na ustawienie ulów z pszczołami na zimę. Przekonano się, że wystawianie ulów na wschód słońca albo na południe, sprawia różne niedogodności. Tak promienie słońca padające wprost na ule, rozgrzewają je, co pszczoły przebudza z ich odrętwienia. Wtedy niektóre z nich wybiegają na wierzch ula; a są i takie, co uwiedzione tem ciepłem przedwczesnem, próbują podlecieć. Zimno jednak wkrótce je ogarnia i jeżeli nie powrócą spiesznie do ula, to łatwo przepłacają życiem swoją śmiałość. Zwykle pszczoły po takim spacerze powracają do ula, z zaostrzonym apetytem i nie mając co innego, spożywają zapas miodu. Gdy takie postępowanie powtarzać się będzie często a roje nie posiadają obfitego zapasu miodu, to go wkrótce spożyją zupełnie, a wtedy zginą do szczętu, jeżeli im właściciel z pomocą nie nadejdzie. Mylnie utrzymują niektórzy gospodarze, że przez zimno zwykle ginie wiele pszczół. Nie jest to jednak zimno, które je zabija, gdyż pszczoły żyją w daleko zimniejszych krajach; zimno je odrętwia tylko, tak jak węże, bobaki i inne zwierzęta. W tym zaś stanie życie tak jest zawieszone, jak podczas snu, a to zdrętwienie przedłużone nie szkodzi im w niczem zupełnie. Najkorzystniejszem przeto jest ustawianie ulów na zimę w położeniu na północ a to pod względem oszczędzenia miodu, jak i dobrego przezimowania rojów słabych.

— Sposób przeciw zatrzymywaniu mleka u krów. Krowę zatrzymującą mleko można wyleczyć od tego zwyczaju, dając jej pić kwaśne mleko. Jak tylko krowa wypije mleko i zacznie wylizywać wiadro, najlepiej wtedy ją zacząć doić.

— Młode drzewka owocowe. Zdarza się że drzewko świeżo szczepione zakwitnie zaraz w pierwszym roku: jest to pospolicie znak, że uschnie. W drugim roku nie można mu także zostawiać kwiatu, w trzecim ledwie kilka, we czwartym i piątym więcej. Lecz nie trzeba dopuszczać żeby młode drzewko wysilało się na owoc, gdyż potem nie będzie urodzajne i prędko zmarnieje.

Rozmaitości.

Gimnastyka. Uczą teraz w niektórych szkołach miejskich a nawet i wiejskich nowej nauki, która się nazywa gimnastyką. Dla młodych chłopców, lubiących zazwyczaj biegać, skakać, wspinać się na drzewa itp. gimnastyka jest wielce ponętną rozrywką, bo nie natęża wcale umysłu zmordowanego pracą przy książce, owszem odświeża go ucząc właśnie takich rozrywek, które młodzież najbardziej lubi, jako to: maszerować po wojskowemu, rękami, nogami i głową wywijać na komendę jak żołnierze, biegać, skakać, wspinać się do góry to przodem, to tyłem itd. Nauka ta jest też dla młodzieży wielce pożyteczną, bo chłopiec, który te wszystkie ćwiczenia powtarza często pod okiem nauczyciela, rozwija się i rozrasta pięknie, nabiera sił, wytrwałości, zręczności, odwagi, wzmacnia i hartuje zdrowie swoje, a wiadomo że tylko w zdrowem ciele zdrowa mieszka dusza. Nadto ćwiczenia gimnastyczne przydadzą się wielce każdemu co ma kiedyś w wojsku służyć, bo tam znowu tych samych ćwiczeń uczyć go będą. Z tych to powodów Rada szkolna krajowa, jako najwyższa władza nad szkołami najmocniej zaleca wszystkim nauczycielom, aby naukę gimnastyki u siebie zaprowadzili, a tym, którzy ją zaprowadzą, udziela szczególne pochwały. Nauczyciele też ile możności starają się zasłużyć na tę pochwałę ale dobrzeby było, aby gminy wspierały ich w tym względzie, i aby nie stawiały trudności jeżeli zaprowadzenie gimnastyki w szkole pociągnie za sobą jaki wydatek. Nie będzie to wydatek bardzo wielki, bo kilka żerdzi wystarczy na początek; rodzice więc pragnący szczęścia swoich dziatek, pewnie worka nie poskąpią na to, co dla nich tak jest pożytecznem i zbawiennem. — W niektórych szkołach dla tego gimnastyki nie zaprowadzono jeszcze, ponieważ nauczyciele sami tej nauki nie umieją i nauczyć się nie mają sposobności. Przyszedł im w pomoc księgarz lwowski, Karol Wild, wydając książeczkę pod tytułem Gimnastyka dla szkół ludowych, z której każdy nawet wyobrażenia o gimnastyce nie mający, może dokładnie wyrozumieć jak ma ćwiczyć swoich uczniów; nietylko bowiem wszystko jest tu bardzo dokładnie opisane, ale nadto przydano 29 rycin, przedstawiających jak chłopcy wykonywać mają rozmaite ćwiczenia gimnastyczne. W każdej szkole książeczka ta, zalecona wielce przez Radę szkolną krajową znajdować się powinna, i my też najmocniej polecamy ją nauczycielom i zwierzchnościom gminnym, do których dochodzi głos Dzwonka naszego.

— Kto zaprenumerował „Dzwonek“ w administracyi „Unii,“ jeżeli go nie odbiera, niech się wprost do nas zgłosi. Pieniądze nam wręczono, ale dwa nazwiska były napisane mylnie i teraz trudno dojść, od kogo pochodzą.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.